

#niegrzecznenowe


motyle w nosie



ŻYCZENIE

Agnieszka Kowalska-Bojar

#niegrzecznenowe

Życzenie

Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydawnictwo Motylewnosie

Poznań 2025

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Copyright © Motylewnosie

Wydanie I

Poznań 2025

Ebook ISBN 978-83-66352-28-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Korekta i redakcja: Angelika Kuszła

www.poradniaredakcyjna.pl

Wydawnictwo:

motyleWnosie

motylewnosie@gmail.com

Ebooki i książki kupisz na stronie:

www.motylewnosie.pl

www.sklep.motylewnosie.pl

Patronaty



Dziękuję!

- *Co byś chciała dostać do czytania
na bezludnej wyspie?
- Wytatuowanego marynarza!*

Mężczyźni to tchórze!

Do takich to wniosków doszłam, dzwoniąc do kolejnej osoby, by powiadomić ją o odwołanym ślubie.

Moim ślubie!

Tydzień przed wyznaczoną datą mój narzeczony oznajmił, że nie może się ze mną ożenić. Plótł przy tym jakieś bzdury o niezgodności charakterów, o braku prawdziwego uczucia i tym podobne. A ja, choć potężnie ogłuszona, doskonale wiedziałam, o co mu chodzi.

O talent!

Konkretniej – o moją karierę, rozwijającą się w zawrotnym tempie, karierę światowej skrzypaczki.

Zżerała go zazdrość...

Kiedy zaczynałam, nikt nie wróżył mi wielkiego sukcesu. Wręcz przeciwnie – to cud, że od razu mnie nie

wywalono. Do szkoły muzycznej dostałam się z listy rezerwowych i już od samego początku podpadłam nauczycielom. Byłam roztargniona, nieuważna, znudzona i mało komunikatywna. Na lekcjach ziewałam lub dłużyłam w nosie, pełną piersią oznajmiając, że TO jest nudne!

Skrzypce jako takie podobały mi się, nie powiem, ale bardziej lubiłam swoje lalki. Jakoś jednak przebrnęłam przez ten etap, a gdy zaczęłam grać, to nie było mowy o jakiegokolwiek rezygnacji. Pchano mnie na każdy konkurs, który wygrywałam, pozostawiając rywali daleko w tyle. Skrzypce pokochały mnie tak samo, jak ja pokochałam je.

Słowem – miałam nielichy talent.

Akademię Muzyczną skończyłam jednak z niejakim trudem, bo zamiast nauki wołałam seks. Romansu z jednym z wykładowców o mało co nie przypłaciłam końcem kariery. Za to jego żonę miałam w komisji na egzaminie i, szczerze mówiąc, muszę przyznać, że słowa: „co przeżyjemy, to nasze” mają w sobie dużo, dużo prawdy.

Na pierwszym przesłuchaniu poznałam wysokiego bruneta o czarującym uśmiechu i manierach prawdziwego dżentelmena. Piotr również grał na skrzypcach. Wkrótce razem świętowaliśmy nasz pierwszy sukces – oboje zostaliśmy członkami elitarnej orkiestry.

Byłam w euforii!

Taki wspaniały facet – przystojny, inteligentny, dojrzały emocjonalnie i fizycznie – zakochał się we mnie! WE MNIE! Narwanej awanturnicy o skłonnościach nimfomanki. Świat był piękny, ja zakochana, a wszyscy

wokół szczęśliwi, bo mieli cichutką nadzieję, że tym razem diament zyska ostateczny szlif.

Słowem – że się ustatkuję.

Rok później ogłosiliśmy zaręczyny. Już wtedy pojawiały się pierwsze zgrzyty, ale chyba nie chciałam ich zauważyć. Ba! Nie dopuszczałam do siebie myśli, że Piotr mógłby mnie zastąpić bezbarwną i mdłą flecistką.

Fakty okazały się jednak bezlitosne. Dokładnie siedem dni przed ślubem oznajmił mi, że od ponad pół roku ma romans. I takie tam inne... Najgorsza była jednak świadomość, że nagle zrozumiałam, skąd niektóre dwuznaczne uśmieszki i nieśmiałe aluzje. Całe nasze otoczenie wiedziało o jego zdradzie.

Całe, ale nie ja!

Oslupienie szybko zamieniło się we wściekłość. Pewnie powinnam była utonąć we łzach, słać się z rozpacz czy tym podobne bzdury. Nie, to nie było w moim stylu. W zamian za to wybiłam mu prawą jedynekę i roztrzaskałam na głowie jego własne skrzypce.

Popłakałam się, dopiero gdy wyszedł, dostojnie trzymając w objęciach resztki instrumentu.

Następnie pocięłam suknię, za którą zapłaciłam kilka tysięcy. I podarłam w strzępy welon. Oraz mściwie umieściłam na Fejsie zdjęcie Piotra podczas felernej imprezy, gdy spił się do nieprzytomności i wymiotował do butów mojej koleżanki. Raz mu się przytrafiło, ale akurat wtedy udało mi się pstryknąć kompromitującą fotkę telefonem.

Potem zamknęłam się w domu i przestałam odpowiadać na jakiegokolwiek próby kontaktu.

Po trzech dniach picia i rozczulania się nad własnym losem przypomniałam sobie, że mieliśmy wykupiony romantyczny rejs dookoła świata. To miała być nasza podróż poślubna.

Z bliskiem w oku spojrzałam na trzymane bilety. Wbrew wszystkiemu postanowiłam, że akurat z tego nie zrezygnuję. Zmieniło się tylko jedno – popłynę sama.

Mały szczegóół, prawda? Okazało się jednak, że nie taki mały...

Statek był ogromny. Miałam na nim spędzić aż całe sto dwadzieścia dwa dni. Sama...

Wzięłam się w garść i rozejrzałam po kabinie. To było istne szaleństwo – apartament z balkonem. Pomyśleć, że zdecydowaliśmy się wydać tyle pieniędzy!

Nie, nie my. Ja. I zrobiłam to, by spełnić życzenie Piotra, który zawsze marzył o takiej podróży. To miał być po części mój prezent ślubny dla niego... Najdroższa opcja na już i tak koszmarnie drogi statek, a on wołał tą chudą, płaską flądrę. Jak jej tam było? Ewa? Klara? Zresztą, nieważne.

Żeby chociaż dupek zołędny oznajmił mi wcześniej, że rezygnuje ze ślubu, to zamieniłabym ten rejs na wycieczkę po fiordach Norwegii.

Zgrzytnęłam zębami w bezsilnej złości. No nic. To było cudowne miejsce, a ja miałam całą torbę tabletek

przeciwko chorobie morskiej. Będzie fajnie – przekonywałam się, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

Statek mi się podobał, dlaczego by nie. Czegóż tam nie było? Siłownie, baseny, restauracje, sklepy, tarasy... Wszystko, czego dusza zapagnie.

Pewnie, gdybym była tu z Piotrem, to i tak większość czasu spędzilibyśmy w łóżku. Jeśli o to chodził, potrafiłam wykrzesać z niego niespożyte siły. Z przekąsem pomyślałam, że dał nogę, bo nie tylko na gruncie zawodowym go przerastałam.

W zasadzie po cholerę chciałam za tego bubka wyjść? No tak, kochałam go przecież.

Po wypłynięciu z portu we Włoszech, pierwsze pięć dni prawie nie wychodziłam z kajuty. W nosie miałam uroki Hiszpanii i Maroka, atrakcje na statku i przystojnych facetów z załogi. Nawiasem mówiąc, zawsze byłam zdania, że mundur, obojętnie jaki, zdecydowanie korzystnie wpływa na wygląd każdego osobnika płci męskiej.

Kiedy już wyplakałam się, wyżaliłam do lustra i odwaliłam trzy piękne, pijackie, samotne wieczory, przyszedł czas na zamiany.

Skorzystałam ze spa i z przyjemnością zesłam na stały ląd w Republice Zielonego Przylądka. Przy obiedzie zaczęłam się rozglądać za męskim towarzystwem.

I tu spotkał mnie bolesny zawód. Pasażerowie przeważnie stanowili pary. W końcu była to wersja rejsu dla zakochanych. Z przerażeniem stwierdziłam, że samotnych kobiet jest na pokładzie kilka, za to nie ma żadnego wolnego faceta!

Rad nierad, zamiast romansu nawiązałam przyjacielskie relacje z pozostałymi pasażerkami. Mój wybór padł oczywiście na te, które również pochodziły z ojczystego kraju. Umówiliśmy się na wieczorek zapoznawczy. A potem na kolejne wieczorki, tym razem pijackie.

Kiedy już wypływaliśmy na wody Pacyfiku, zorganizowaliśmy sobie specjalny wieczór suto zakrapiany szampanem. I owszem, po piętnastej flaszce szampana można było uznać, że atmosfera zrobiła się bardzo przyjemna, a między nami kwitły prawdziwie siostrzane uczucia.

– Ponad sto dni bez seksu? Czy ja za karę płynę tą piekielną łajbą? – wybełkotała Iza, bezwładnie waląc głową o blat stołu.

Była z nas wszystkich najstarsza – ponętna blondynka tuż po traumatycznym rozwodzie. Zostawiła dzieci u rodziców i wykupiła rejs w nadziei na romans niczym z serialu *Statek miłości*.

– Sto? – Jakoś wcześniej o tym nie pomyślałam. – Dlaczego sto? – dodałam z rozpaczą.

– Tyle trwa rejs.

– A załoga?

Trzy pary kobiecych oczu spojrzały na mnie z wyrzutem.

– Nie wiesz, że taki marynarz ma w każdym porcie inną?

Błękitnooka, ciemnowłosa Marta z pewnością wiele wiedziała na temat zdrady. Zdążyła opowiedzieć nam pełną pikantnych szczegółów historię swego związku. Jej

facet miał nie jedną, a siedem kochanek. I czwórkę nieślubnych pociech.

No i była jeszcze cicha, skryta Ewa. Trochę bojaźliwa i nieśmiała, ale wszystko to utonęło w morzu alkoholu. Miała ogromne, świetliste, szare oczy, rude włosy i idealnie nadawała się na odtwórczynię roli głównej *Ani z Zielonego Wzgórza*. Przynajmniej jak dla mnie.

I właśnie ona przypomniała nam o mało przyjemnym szczególe.

– Załoga unika jakichkolwiek relacji z pasażerami jak ognia. Po takim numerze wylatują z pracy...

Smętnym wzrokiem zapatrzyłam się w kieliszek, podpierając dłońmi kiwającą się głowę.

– Sto dni? A gdzie ci wszyscy masyści, napakowani testosteronem marynarze? Z całą masą tatuaży na ciele i zabójczym uśmiechem?

– W filmach – wyrwało się Izie.

– Ja chcę jednegoooo! – wyjęczałam przeciągle, mierzwiąc włosy. – Potrzeba mi prawdziwego mężczyzny, nie takiego jak ten pizdokleszcz, który mnie porzucił!

– Pizdo... co? – Znów udało mi się je zaskoczyć.

– Takie moje prywatne określenie – wyjaśniłam.

– Nawet dobre.

– I pasuje do niektórych facetów.

– Marynarza! – wycharczałam, a potem podniosłam się z miejsca, usiłując utrzymać równowagę. – Idę szukać! – oznajmiłam godnie.

– Wiki, daj spokój. Jeszcze zrobisz sobie gdzieś krzywdę. – Ewa usiłowała mnie powstrzymać.

– Nie ma mowy. Gdzie są kwatery załogi? – zaczęłam nieco zdumionego naszym zachowaniem kelnera. A że był to miły i młody chłopak, grzecznie wyjaśnił mi drogę, nie zadając zbędnych pytań. Kiwałam potakująco, choć niewiele z tego, co mówił, docierało do mego zamroczonego alkoholem umysłu. – Idę uprawiać seks – wybełkotałam i potknęłam się o własne nogi. Na szczęście od upadku uratowało mnie oparcie najbliższego krzesła.

Do dziś uważam za cud, że udało mi się nie tylko dojść, ale i trafić w pożądane miejsce. Wstyd tylko wspomnieć, w jakim stanie tam dotarłam. Po drodze miałam przymusowy postój pod jakąś rozłożystą palmą i lekko zanieczyściłam zawartość jej donicy.

Zgubiłam też buty. I całe szczęście, bo zabiłabym się na tych dziesięciocentymetrowych obcasach. W wąskim korytarzu wisiało lustro. Z nieufnością się w nim przejrzałam i odruchowo przygłodziłam włosy. Z jednej strony, z tyłu nadal dziwnie sterczały. Makijaż mi się rozmazał, ale uznałam, że wyglądam przez to bardziej drapieźnie. Butelkę od szampana – którą o dziwo, cały czas ścisnęłam w dłoni – rzuciłam za siebie. Potem zebrałam myśli, które mimo mych starań były jakies takie... rozmyte?

Dobra. To chyba tutaj. Ale które drzwi?

Ruszyłam do przodu, głośno recytując wyliczankę zapamiętaną z dzieciństwa. „Bęc” wypadło na piąte po prawej. Nie namyślając się wiele, nacisnęłam klamkę i znalazłam się w małej, klaustrofobicznie ciasnej kajucie.

Na wąskiej koi spał mężczyzna. Dodam, że półnagi, zaledwie ubrany w bokserki. Leżał na plecach, jedną dłoń

umieścił pod głową, druga zwisała mu, potykając prawie podłogi.

Boże! Dzięki za ten dar.

Był idealny! Tak duży, tak umięśniony i tak wytatuowany, że na tę chwilę stanowił całkowite spełnienie moich marzeń. Włosy miał obcięte prawie przy skórze, śniadą cerę i sporą wypukłość pomiędzy nogami.

Z chichotem postanowiłam sprawdzić jak sporą... Bardzo ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi, aby zbyt szybko go nie obudzić. Czułam się niczym mała dziewczynka planująca zabawnego psikusa.

W zasadzie nie wiem, co wtedy myślałam. Jak widać, chyba niewiele. Moja inteligencja została w drugiej butelce łąpczywie wypitego szampana, mózg przeszedł w tryb awaryjny, a do głosu doszły wszelkie pierwotne instynkty. Oraz nieopanowana wesołość.

Na palcach podkrađłam się bliżej. Niestety nie zdołałam dotrzeć do celu. Potknęłam się o rozrzucone na podłodze buty. I wpadłam wprost na śpiącego faceta, waląc go głową prosto w brzuch. No dobrze, przyznam się, trafiłam prosto twarzą pomiędzy jego nogi.

Jęknęłam ja, wrzasnął on.

A potem rozpętało się piekło.

PO WIĘCEJ EBOOKÓW ZAPRASZAMY NA:
WWW.MOTYLEWNOSIE.PL
WWW.SKLEP.MOTYLEWNOSIE.PL

POZWÓL SOBIE NA ODROBINĘ LUKSUSU...



Inny wymiar erotyki